Nr. 29. We Lwowie dnia 18. lipca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kolektywizm Lamprechta w historjozofji.

Kolektywizm w nauce ekonomji oznacza taki porządek społeczny, w którym wszystkie środki wytwórcze stają się własnością społeczeństwa. Analogicznie do tej definicji znaczyłby kolektywizm w historjozofji, że przedmiotem historji jest życie narodu we wszystkich jego przejawach, przemysłowo-gospodarskich, uczuciowych, estetycznych, intelektualnych i moralnych. Mimo podobieństwa pewnego w tych definicjach, oraz w wielu punktach definicjami temi nie objętych, kolektywizm historjozoficzny ma swoje własne naukowe podstawy, acz co prawda wiele zapożyczył ze socjalistycznej szkoły ekonomji. Początki jego sięgają jeszcze roku 1795, kiedy Mikołaj Condorcet w dziele swem „Esquisse d'un tableau historique des progrés de l'esprit humain" wypowiedział był, że właściwym czynnikiem w historycznem życiu narodów jest bezimienna masa rodzin i jej cywilizacyjne nabytki. Punkta styczne ze socjalizmem a raczej materjalistycznym kierunkiem w historjografji wcale jednak nie przemawiają za tem, aby nadawać kolektywizmowi miano socjalizmu, jak to czynią niektórzy (Bernheim, Scala); po pierwsze, że wywody socjalizmu Marksa, opierają się na historji, na pewnym sposobie oceniania faktów historycznych, tak że właśnie kolektywizm historjozoficzny może być uważany za rodzica szkoły socjalistycznej — po drugie, że trudno sobie wyobrazić, co może znaczyć słowo socjalizm w historjozofji. Posługiwano się nim, jako bronią w walce o słuszność poglądów, w mniemaniu, że jeżeli się rzuci w oczy kolektywistom wyraz socjalizm — ujmie to natychmiast coś z ich powagi, obwiniając przed ogólną opinją o doktrynerstwo. Chociaż socjalizm jest systemem kolektywistycznym i chociaż kolektywizm historjozoficzny jest prądem sympatycznym socjalizmowi nie można mięszać dwu tych wyrazów, gdyż wyraz „kolektywizm" oddaje bardzo dobrze pewne zasadnicze zapatrywania historjozoficzne, którym wyraz socjalizm nie odwiada.

Jak już mieliśmy sposobność zaznaczyć, kolektywizm nie jest nowatorstwem. Mieści on w sobie to, co wypowiedział był Spencer we „Wstępie do socjologji" a którychto poglądów za środkowy punkt mogą być uważane słowa Lotzego: „Żadna siła indywidualna nie może osiągnąć znaczenia w historji, jeśli nie potrafi ująć niektórych ogólnych popędów i ogólnoludzkich skłonności za podkład do działania" (Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit, Str. 65).

Następnie mieści on wiele cech właściwych materjalistycznemu kierunkowi. Zapatrywania te związał w całość i jasno sformułował Karol Lamprecht, chrzcząc je mianem kolektywizmu w dziełku, „Alte und neue Richtungen in der Geschichtswiessenschaft" Berlin 1896 i rozprawie: „Was ist Culturgeschichte" (Deutsche Zeits. für Geschichtswissenschaft 1896/7 Vierteljahresheft 2), poparłszy znakomitem dziełem: „Deutsche Geschichte". Nie wychodząc z żadnych apriorycznych zasad, czy np. stosunki wytwórcze są jedynym czynnikiem w historji, czy też siły intellektualne, trzyma się on metody indukcyjnej, starając się wszystkie objawy oceniać wedle ich wartości i z tego powodu poglądy jego stoją na najwłaściwszem stanowisku rozwoju badań historycznych. To też sprawia, że Lamprecht jest w przededniu założenia osobnej szkoły historycznej w Niemczech, której organem zdaje się być czasopismo Quiddego, Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft. Przedstawić więc, dlaczego ochrzczono nazwą kolektywizmu rzeczy które nowymi nie są, wyłuszczyć je w zasadniczych punktach, odgraniczyć kierunek ten

z jednej strony od materjalistycznej szkoły z drugiej od indywidualnej, nadto niektóre myśli dalej rozwinąć, będzie zadaniem naszem.

Lamprecht wychodzi z tej zasadniczej myśli, zresztą już znanej (Hegel), że stan psychiczny, wyobrażenia, uczuciowość, wola pewnej grupy ludzi, towarzystwa, klasy, państwa nie jest sumą poszczególnym czynników, że do tej sumy przybywa jeszcze coś jakościowo nowego, jak np. opinja publiczna, patrjotyzm. Nadwyżka ta nie jest celowym wytworem poszczególnych indywidualnych czynników psychicznych; indywidua nie stwarzają jej umyślnie, jakkolwiek znajdują się pod ich wpływem. Bezwątpienia też, ogólne społeczno-psychologiczne objawy muszą mieć dane w psychologji jednostki — w zjednoczeniach jednak przejawiają się o wiele wyraziściej. Skoro zaś istnieje jakaś ogólna wola, uczuciowość i wyobraźnia w pewnym społecznym tworze, to możemy poszczególne jednostki, wchodzące w skład tego tworu, sprowadzić do jednego typu i uważać między sobą za identyczne, chociaż obok tych typowych przymiotów posiadać mogą i posiadają swe odmienne czysto indywidualne. Historjografja więc jest uprawnioną posługiwać się tym typowym człowiekiem, jako pojęciem gatunku. Gatunkowość przedstawia nam działacza w historji, siłę o wiadomym kierunku, która nie potrzebuje się objawić w jakimś dramatycznym fakcie historycznym, odegrać roli, jak mówimy historycznej a właściwie godnej zapisania przez jakiegoś kronikarza, aby była raz na zawsze za taką uznaną.

Siła ta dalej nie jest chwilową jak np. talent jakiegoś wodza lub dyplomaty, którego zresztą także można podporządkować pod pewien typ, lecz działa stale, w sposób ciągły. Dlatego też i skutki jej są nierównie silniejsze, trwalsze, niż zdziałane przez wielkich ludzi. Mógł być Batory wielkim królem i dokonać wielu znakomitych czynów, siła jednak klasy magnatów, działająca stale od dawna we wiadomym kierunku, sprawiła taki ogólny stan w Rzplitej i tak była potężną, że i najznakomitsze czyny indywidualne (o ile one w ogóle za indywidualne poczytane być mogą) nie potrafiłyby sprawy obrócić na lepsze. Najlepszy dowód zaś potęgi tej klasy dało bezkrólewie po śmierci Batorego.

Ze względu, że siła ta jest zbiorowej natury, możemy śledzić prawidłowość z jaką powtarzają się niektóre jej objawy i tylko ją obserwując, możemy dostrzedz to, co właściwie historją stanowi: rozwój instytucji, wierzeń, kultury, w ogóle ewolucję. Poszczególne jednostki mogą się odznaczać nadzwyczaj wybitnym indywidualizmem, ale muszą się przystosowywać do tych podkładów siły ciągłej, idą za nią podobnie jak igiełka magnesowa znajdująca się w pobliżu prądu elektrycznego, wśród wahań, ustawia się do niej równolegle. Bez niej nawet pomyślanymi być nie mogą: artysta bez panującego w jego czasie stylu, wytwórca bez sposobu wytwarzania, wódz bez taktyki wojennej i t. p. Reasumując to, cośmy dotychczas powiedzieli, okazuje się, że metoda, która ignoruje indywidualne różnice a poszukuje wspólnych odcieni w celu oznaczenia ich typu a zatem zbiorowego stanu psychicznego jest metodą syntetyczną, kierunek zaś historjozoficzny, który się nią posługuje, słusznie może być nazwany kolektywistycznym.

Starsza szkoła historyczna, dziś jeszcze panująca, a u nas szczególniej, nicjednak o tem wiedzieć nie chce. Badania jej są zawsze zwrócone ku poszczególnym indywiduom, wyodrębniając je od cech społecznotypowych, w których mieści się ich prawdziwa siła. I jasnem jest, że w ten sposób postępując, nie można widzieć należycie prawidłowości i konieczności z jaką wypadki występują. Muszą więc przypisywać jednostkom wolność czynów, zamiary, które może nigdy nie powstały w ich głowie. Lamprecht uznaje jednak w pewnym ograniczonym stopniu metodę tej szkoły, uważając ją za analityczną, bez której synteza później nie mogłaby się odbyć. Jeżelibyśmy tak rozumieli cel tej szkoły, byłoby to słuszne: dziwnem atoli się wydaje, dlaczego indywidualistyczna ta szkoła analizuje prawie wyłącznie i szeroko tylko osoby bliżej ołtarza stojące. Znamy już teraz dokładnie całą genealogię Piastów, o ludzie naszym i o jego stosunkach ekonomicznych względnie niewiele powiedzieć możemy. Dlatego też mamy właściwie historję polityczną rodów królewsko-magnackich na tle życia społecznego innych warstw, które to tło z powodu dalekiej perspektywy tak maleje i takiej niejasno-szarej barwy nabiera, że tylko postacie królów i Zamojskich tem plastyczniej widnieją, Nader uwagi godne myśli w tej materji, tyczące się historjografji polskiej, spisał przeszłego roku Dr. Łuniński (Uwagi historyczne, Kraj Nr. 28—31) tak, że ich tu powtarzać nie potrzebuję.

Ponieważ, jakto wyżej powiedzieliśmy, szkoła indywidualistyczna wyodrębnia przedmiot swego badania od cech społecznotypowych, wpływów innych grup i rozmaitej natury, między innymi i ekonomicznej, przeto w świetle takich badań właściwą jest historji wolność pojawiania się faktów, to znaczy, że fakt jakiś historyczny może nastąpić albo nie — podczas gdy w świetle badań kolektywistycznych właściwą jest historji prawidłowość i konieczność z jaką fakta następują. Uznając obie te szkoły, uznaje Lamprecht w praktyce sprzeczność zasad konieczności i wolności w dziejach, uważając tę ostatnią za nie dającą się *na razie* udowodnić przyczynowość. Indywidualistyczna szkoła w tym wypadku zastępuje

przyczynowość celowością twierdząc, że dany osobnik chciał to zrobić, czego dokonał. Wedle Lamprechta też cała różnica między kolektywizmem a indywidualizmem wynika z różnicy metod, jaką się obie te szkoły posługują: przyczynowością a celowością (Alte u. neue Richt. S. 4.) Wywód jego jest następujący:

Historja, jako umiejętność indukcyjna wyrabia sobie pogląd pod wpływem każdorazowych badań. Różnica metody więc a nie poglądu na świat dzieli historyków na dwa skrajne obozy. Stara szkoła Leibniz-Wolff pytała się o przyczynę faktu, lecz odpowiedź dawała w formie celowości, „bo cel jest z wyobrażenia skutków wywnioskowaną przyczyną“. Przytem były te szukane a znalezione cele zawsze indywidualnemi celami, jak też i dziś jeszcze się dzieje. Cel tu bywa do tego stopnia zlewany z przyczyną, że niszczy wszystkie inne przyczynowości właściwe formy. Uzasadnienia zapomocą celowości i przyczynowości nie są jednak zupełnie odrębnemi czynnościami naszego poznania, lecz dwoma sposobami zapatrywania się. Celowość może być użytą do ludzkich indywidualnych, jasno pomyślanych czynności, bo te dokonywują się (mogą się dokonać. Przyp. aut), mając za przyczynę jasno pomyślane skutki. Czy wszystkie jednak czynności dokonywują się celowo? Czyż nie ma rozległego obszaru czynności, w którym wszyscy jednakowo sytuowani, jednakowo działają a indywidualizm nie zanika wobec jednorodnych czynności? I tu stanowisko Lamprechta najlepiej można uchwycić. „Indywidualne, znakomite czynności należy zawsze wiązać zapomocą hypotez w duchu celowości, czynności zaś i całe ich kompleksy, odznaczające się pewnym sposobem życia są zbiorowej natury i wymagają wyjaśnienia ściśle przyczynowego. Dlatego rozchodzą się dzieje osób i dzieje sposobu życia, indywidualistyczny i zbiorowy lub kolektywistyczny kierunek. To jednak jest pewnem, że zasada ściśle przyczynowego uzasadnienia posuwa się coraz raźniej ku granicy pewnych kompleksów czynności wyjaśnianych dotąd tylko zapomocą celowości. Dla teleologicznej metody zawsze jednak zostanie pole do działania otwarte, bo zupełnego uzasadnienia wszystkich faktów nigdy nie osiągniemy.

Bezwątpienia, że oba te sposoby wykazania przyczynowości są nieodłączne od obu kierunków. Nie możemy się tylko zgodzić na to że są one źródłem odmiennych poglądów historjozoficznych. Metoda kolektywizmu, używa metody przeciętnych, typowych własności, starając się dane uzyskać ze statystyki. Co wpłynęło na wybór tej właśnie metody? Musimy odpowiedzieć, że odmienny jakiś pogląd na istotę i cel historji, który mógł się zmienić pod wpływem zmiany ogólnego poglądu na świat. I nie pomylimy się chyba, jeżeli powiemy, że pogląd ten zmodyfikowały wzrost nauk przyrodniczych i społecznych. Profesor Schmoller z Berlina w taki też sposób wyraził się na przeszłorocznym zjeździe historyków w Innsbrucku! „Lamprecht sądzi, że jest wolny od wszelkiego poglądu na świat, jest tymczasem sługą swego zapatrywania, zabarwionego pozytywizmem i ekonomiką“.

Zabarwienie to jednak ekonomiką jest dalekie od materjalistycznego pojmowania historji. Zasadnicza różnica polega na tem, że kiedy materjalizm historjozoficzny, uważa za główny czynnik, za zmienną niezależną, stosunki wytwórcze, kolektywizm Lamprechta uwzględnia wszystkie objawy społeczne, jako czynniki, gdyż tworzą one nierozerwalną całość, oddziaływając na siebie wzajemnie (Was ist Cltrgesch 116—117). Następnie u Marksa przedstawione są te stosunki wytwórcze, jako objektywne, materjalne masy, opanowujące całe społeczne życie, u Lamprechta, jako siły społeczno-psychiczne, niepozbawione i etycznego momentu, czyli na miejsce objektywnych stosunków stawia Lamprecht siły zbiorowe. Wspólność zaś zapatrywań objawia się we większem zwróceniu uwagi na stosunki ekonomiczne, na masy ludzi pospolitych, sposób życia powszedniego, który w politycznem życiu się nie objawia, a który niemniej silnie na nie wpływa oraz posługiwaniu się metodą indukcyjną.

Lamprecht odróżnia trzy główne klasy czynników historycznych: naturalne, społeczno-psychiczne i indywidualne, nie topi więc indywidualizmu w pojęciu gatunkowości, w czynnikach społeczno-psychicznych i z tego powodu nie można go też nazwać skrajnym kolektywistą, jak Marksa, Engelsa, Weisengrüna. Zostawia on pewną wolę jednostce. Jednostka wybitna, historyczna nie jest sługą tylko woli i wyobraźni ogółu, dodaje ona do niej zarazem coś swego własnego. Jako domieszka w ogólnym ustroju psychicznym działa ona silnie, czyto potęgując istniejące prądy czyto osłabiając (W. i. Cltr. 110). Stanowisko Lamprechta zbliżone jest więc pod tym względem bardzo do Bernheima, dla którego indywidualne motywa są właściwem polem do badania i poznania (Lehrbuch der historischen Methode 1894 S. 79. Bernheima zaliczyć należy do szkoły indywidualistycznej mimo, iż uwzględnia psychologią mas; uwzględniając ją, nie posługuje się metodą przeciętnych, wykazania typowości, gdyż w jego mniemaniu jest ona sztucznym przyrodniczym środkiem (Lehrb. 85).

Czynniki kulturowe chce traktować na na równi z czynnikami politycznymi (Lehrb. 12, 51) a wespół z geograficznymi zowie je tylko warunkami, a nie przyczynami rozwoju dziejowego, przyczyny zaś historyczne upatruje tylko w osobistościach, względnie w ide-

ach, które one reprezentują (Lehrb. 493—4) kiedy u Lamprechta są wszystkie przyczynami (W. i Cttg. 113). Z tego widocznem jest, że różnica poglądów między Lamprechtem a Bernheimem nie jest bardzo wielką, co sam Lamprecht zresztą przyznaje, powołując się na Bernheima „który z jego stanowiskiem tak wielokrotnie się zgadza (W. i. Cttg. 112). Charakterystyczną rzeczą więc musi się wydać, jak obaj ci historycy, nie stojąc wcale w diametralnej sprzeczności, obawiają się, aby ich nie pomówiono, Bernheima o idealizm, Lamprechta o materjalizm. „Nie potrzeba być wcale idealistą, ażeby uznać znaczenie idealnych popędów w życiu narodu lub jednostki i że idee nie są wcale duchami, w które wedle upodobania wierzy się lub nie, lecz są czysto realnymi społeczno-psychicznymi pierwiastkami, godnymi studjów“ (Lehrb. 514) woła Bernheim. „Kto historją gospodarstwa uprawia i ekonomiczne wpływy w historji uznaje i wprowadza je do niej, uchodzi dzisiaj w pewnej grupie historyków za materjalistę. Dlaczego? Przyzwyczajono się bowiem stosunki ekonomiczne uważać za synonim materjalizmu, — sztuki i literatury — idealizmu. Lecz materjalizm jest tylko pewnem psychologiczno-metafizycznem zapatrywaniem“. (Alte u. neue Richt. S. 11).

W ten sposób zaznaczyliśmy stanowisko Lamprechta z jednej strony względem skrajnego kolektywizmu, z drugiej względem najbliższego mu teoretyka kierunku indywidualistycznego i nie pomylimy się, jeśli stanowisko Lamprechta nazwiemy umiarkowanym kolektywizmem psychologicznym.

(Ciąg dalszy nast.) *Benon Janowski.*

Stosunek caratu do oświaty.

(Dokończenie).

Towarzystwa nieposiadają żadnych praw kontroli nad założonymi przez siebie szkołami. Zdawać by się przeto mogło, że władza nic mieć nie może przeciw podobnym Towarzystwom, że takie stowarzyszenia powstawać będą wszędzie gdzie tylko znajdą się ludzie życzący składać dobrowolne datki na szkoły. W państwie cara rzecz się ma inaczej. Pozwolenie na utworzenie takiego „Towarzystwa“ zależy od zgody ministrów oświaty i spraw wewnętrznych; najczęściej napotyka się na przeszkody ze strony przedstawicieli ministerjum oświaty. Np. p. Florinskij *) zawiadujący okręgiem naukowym Zachodnio-syberyjskim nie dopuszcza zakładania nowych „Towarzystw oświaty ludowej“ na Syberji. Ten sam Florinskij przed trzema laty nie pozwolił na odczyt w Tobolsku o kolei żelaznej, motywując zakaz tem, że „do Tobolska kolej żelazna jeszcze nie doszła“.

Wykłady ludowe ta wielka kulturalna dźwignia, podlegają w Rosji niemożliwym do uwierzenia skrępowaniom.

Na mocy postanowienia komitetu ministrów, zatwierdzonego przez cesarza w 1876 r. d. 21. grudnia tylko w miastach gubernialnych można urządzać odczyty dla ludu; pozwolenia na nie udziela kurator okręgu naukowego po porozumieniu się z gubernatorem; dozór powierza się dyrektorowi szkół. Czytać można tylko z książki zatwierdzonej przez ministerjum narad owej oświaty lub Św. Synod (ministerjum kultu), wyjaśnień tekstu zakazuje się. Podług tegoż prawa zabrania się urządzania podobnych odczytów na fabrykach.

W ciągu tych lat 20, jakie upłynęły od wydania powyższego prawa znaczna ilość „ziemstw“ robiła podania o zezwolenie urządzania odczytów w miastach powiatowych, lecz zawsze otrzymywano odpowiedź następującej treści: „Ministerjum jest zajęte opracowaniem nowych przepisów odnośnie do ludowych odczytów i do ukończenia tej pracy podanie ziemstwa pozostawia bez skutku“.

Dalej co do cenzury książek ludowych, to Rosja prześcignęła średniowieczne papiestwo. Indeks rzymski wskazuje jakich książek nie wolno czytać ludowi a tutaj wszelkie książek nie mające aprobaty komitetu ministerjum oświaty narodowej są dla odczytów i czytelń ludowych zakazane pomimo to, że już raz przeszły przez ogólną cenzurę carską.

W ciągu 15 lat (1878—1891) komitet ministerjum oświaty, jak widzimy z książki p. Prugawina (Zaprosy naroda i obiazanosti intelligentii) rozpatrzył i aprobował wszystkiego 132 książki. Są to przeważnie broszury. Znaczna większość tych broszur wysławia carów moskiewskich. Katalog ministerjum zawiera nie więcej niż kilkanaście utworów rosyjskich klasyków i to w przeróbkach. Na 23 numery beletrystycznych utworów, 9 należy do całkiem nieznanej autorki pani Ketenkamp, która odważyła się przerobić „Króla Leara“ na „Starca Nikitę i 3 córki“.

*) Florinskij znany w rosyjskiej medycynie uczony; b. profesor, w młodości, jak zwykle u rosjan, radykał, od czasu otrzymania stanowiska — reakcjonista.

Podług ustawy o ludowych biblioteczkach zawierać one mogą tylko książki z powyższego katalogu i różne żywoty świętych: w ostatnich zwykle się opisuje jak święci po śmierci wydawali przyjemną woń kadzidła.

Oto są ramki w jakie wtłoczona jest oświata ludu w państwie cara. Lepszych warunków kulturalnego rozwoju od tych, jakie posiada Rosja, carat nam nie da. Mogą powstać u nas komitety oświaty ludowej pod przewodnictwem żandarma Margrafskiego z udziałem pana Radziwiła dla którego cenzura carska nie jest jeszcze dostateczną, który więc wziął się sam do cenzurowania książek w bibliotekach warszawskiego towarzystwa dobroczynności; lecz te komitety mogą mieć jedynie na celu wpajanie rosyjskiego patrjotyzmu społecznej uniżoności, — dla rozwoju kulturalnego nic one nam nie dadzą.

Wł. St.

SALUSIA.

Słońce sierpniowe dobrze już przegrzewać zaczęło, kiedy Salusia przeciągnęła się na pościeli i otworzyła oczy.

„Wstawaj, Salka, wstawaj“ — zawołała matka krzątająca się koło komina — „Czas iść do szkoły“.

Na te wyrazy wzrok Salusi zasępił się nieco. Westchnęła z cicha, zwolna zwlokła się z łóżka i ubierać się zaczęła: „Ach! ta szkoła! myślała — to utrapienie dla dzieci“. Toć ona właśnie dla tego tak chętnie przedłużała ranną drzemkę, że wśród niej zapominała o istnieniu trudnych zadań, niezrozumiałych niemieckich wyrazów i cudacznych liter —a przedewszystkiem o istnieniu srogiego nauczyciela, który ją strachem przejmował. W święta i niedziele jakże żwawo wyskakiwała z łóżka, jak pospiesznie się ubierała, żeby się jaknajwięcej swoją swobodą nacieszyć! A i tak jeszcze dnie te wydawały jej się niezmiernie krótkie. Ledwie się zabawiła, już wieczór się zbliżał, a w poniedziałkowy ranek znowu budziła ją matka codziennym wezwaniem: „Wstawaj, Salko, wstawaj! Czas iść do szkoły“.

Matki słuchać trzeba, od nauki wykręcać się nie można więc przecierała oczy, wstawała, ubierała się ale jakoś szło jej nie sporo. Coś jak ołów ciążyło jej w rękach i nogach, nie mogła się szybciej poruszać, a myśl uparcie stawiała jej przed oczy zagniewaną minę nauczyciela, którą wkrótce zobaczyć miała. Zresztą samo ubieranie wymagało sporo czasu, bo Salusia ukradkiem, tak, aby matka nie widziała, wyciągała z kuferka wszystkie swoje sukienki, spódnice i kaftaniki i całą tę swoją garderobę na siebie wdziewała. Było tego stosunkowo sporo, bo rodzice długi czas mając ją jedną tylko nie żałowali jej na ubranie i z każdego jarmarku jakiś nowy przyodziewek przynosili. Zresztą Salusi zdawało się tylko, że nikt nie spostrzega tego jej dziwnego sposobu ubierania się. Zauważyła go matka już oddawna, ale nie mogąc pochwalać, nie chcąc bronić, patrzała na to przez palce, a choć jej trochę żal było, że się tak wszystko na raz zużywa i niszczy, rozumiała, o co dziewczęciu chodzi i nie przeszkadzała. Wiedziała, że nauczyciel dzieciom łoziny nie żałuje, że na Salusię gniew jego spada. Biedactwo chciało chronić skórę od bolu i dla tego się okrywało. Nie zawsze to zresztą pomagało, nauczyciel bił czasem po rękach, po twarzy, po głowie.

Salusia codziennie idąc do szkoły z góry przygotowana była na to, że jej się co dostanie. Czasem uszło jej na sucho; ale tylko wtedy, gdy przez cały dzień nie zadano jej żadnego pytania, jeśli zaś tylko nauczyciel zwrócił się do niej, zaraz dreszcze ją przechodził, bo wiedziała, że się bez chłosty nie obejdzie. Do pewnego stopnia nawet wydawało jej się to naturalnem, bo nigdy nic nie umiała. Działo się to najpierw dla tego, że nie rozumiała niemieckich pytań, a potem tak przywykła do gniewu nauczyciela i swojej nieudolności, że wprost nie wydawało jej się możliwem, aby kiedykolwiek dobrą odpowiedź dać miała. — Już to ona do nauki widać stworzoną nie była. Zanim zaczęła do szkoły chodzić bywała w domu tak żwawa i roztropna, tak zręcznie dopomagała matusi — tak tatusiowi posłużyć umiała, że rodzice nieraz z dumą i zadowoleniem spoglądając na siebie mówili: „Co to za mądre dziecko!“

Ale cały ten domowy rozum na nic się nie przydał w szkole. Tam stawała się nagle głupią — zupełnie głupią — trzech zliczyć nie umiała, traciła przytomność umysłu, czuła się ogłuszoną, oszołomioną, a zarazem głęboko upokorzoną wskutek swej nieudolności.

Z początku pocieszała się myślą, że to przeminie, gdy się cokolwiek z nauką oswoi, ale nadzieja ta zawodziła. Już oto na Śty Michał minie półtora roku jak do szkoły chodzi i nie tylko nic nie umie ale straciła wiarę w to, aby czegoś nauczyć się mogła. Ta myśl ją przygnębiała, a że przy tem żyła w ciągłym strachu, ciągle łajana i poniewierana przez srogiego nauczyciela, więc stawała się coraz bardziej cichą, milczącą, posępną — a

dawną swą swobodę i żywość tylko podczas dłuższych wakacji odzyskiwała częściowo. To też tęskniła ona za tą chwilą upragnionej swobody, jak za słońcem i powietrzem więzień w ciemnicy zamknięty.

Teraz oto, gdy z książkami pod pachą wychodziła ze wsi i spoglądała na pola przyległe, zauważyła z przyjemnością, że resztę pszenicy i grochu zwieziono, że tu i owdzie tylko trochę owsa w kopach leży, że rolę już sposobią pod jesienne zasiewy. „Za kilka tygodni wykopniska“ mówiła sobie w duszy; doznała pewnej ulgi, bo wiedziała że na wykopniska wypuszczą dzieci ze szkoły a i ona pójdzie z kobiałką na pole i przy matusi kartofle z bruzdy wybierać będzie. Będzie znowu kilka chwil wesołych. Cała dzieciarnia wylęgnie na kartofliska, będzie i roboty i zabawy nie mało, ruch, życie, swoboda, jesienne słoneczko uśmiechać się będzie na niebie! a na polach i miedzach rozprzędzie się srebrne babie lato. — „Ach! to jeszcze tak daleko — westchnęła i szła dalej, ale po chwili znów inna myśl pocieszająca błysnęła jej w głowie: „Może dziś nauki nie będzie“, pomyślała „tak gorąco! może nas puszczą do domu“. Przypomniała sobie jednak, że to pewno jej tylko gorąco, bo była bardzo ciepło ubrana. Po drodze wstępowała do tatusiowej kuźni i ojcu śniadanie przynosiła. Przy tej sposobności zapytała go: „Tatusiu, czy dziś bardzo gorąco?“ — Kowal spojrzał na nią uważnie. zdziwionym wzrokiem, a po chwili zagadnął: „A ty nie wiesz, czy gorąco?“ Salusia zmięszała się i oczy spuściła: „Nie wiem“ — mruknęła cicho. Nieznacznie ruszył ramionami i odparł niechętnie: „I ja też nie wiem. W kuźni przy ogniu zawsze gorąco“.

Salusia pożegnała się z ojcem i szła dalej, on zaś zabierając się do śniadania patrzał na niej jeszcze smutnym wzrokiem i rzekł do kowalczyka: — „Dziewczyna mi głupieje od tej nauki“.

— To czemu posyłacie? — zapytał kowalczyk, który niedawno dopiero z królestwa przybył i pruskich praw i zwyczajów nie znał.

— Dobryś! Jak nie poślę, to dziennie 50 złr. kary płacić muszę; na to nie mam. Ja sam rad jeśli tyle zarobię.

Oj! te pruskie szkoły, mówił dalej, to nasza plaga, nasze utrapienie. Od czasu jak Salkę posyłam, nie mam dnia spokojnego. Najprzód wzięli ją do niemieckiego oddziału religji, bo mówili, że się po niemiecku nazywa. Jako żywo, nieprawda. Szelmy uczciwych katolickich nazwisk pisać nie umieją — więc zamiast Salomea Śmigiel zapisali ją Schmiegel, na Niemkę przerobić chcieli. Żeby nie te krętactwa, toby tu wcale niemieckiej religji nie było, bo prócz jednego strażnika i jednego dzierżawcy, który i tak dzieci do gimnazjum do miasta posłał. Deutsch katolików nie ma w okolicy. Ale oni sobie wybierają nazwiska, które przekręcić mogą i tak dzieci do niemieckiego pacierza zmuszają. Kto głupi — to zmilczy i na wszystko przystanie.

— Ale wy nie przystaliście? — zagadnął kowalczyk widząc, że kowal pragnie wygadać, co mu na sercu leży.

— Pewnie, że nie — mówił dalej. Poszedłem do pana do dworu, a ten naradził się z proboszczem, a potem do inspektora. To nie pomogło, więc zrobił podanie do regencji — i wytłómaczył, że rodzina Śmiglów z dziada pradziada polska, dawno w okolicy zamieszkała, o czem świadczą kościelne księgi, na których od stukilkudziesięciu lat czarno na białem zapisano! Śmigiel umarł — Śmigiel ślub brał — a nigdzie o żadnym Schmiegelu ani słowa. Było w tem kłopotu nie mało, bo Niemcy mają twarde głowy, a jak czego niechcą zrobić to choćbyś łopatą nakładał, jeszcze do mózgu im nie wejdzie. W końcu jednak swoje zrobiłem i tyle zyskałem, że dziewczynę na polską religją przyjęli.

— To możecie być radzi — wtrącił kowalczyk.

— Żeby to na tem był koniec — ciągnął dalej kowal. Najgorsze dopiero się zaczęło. Nauczyciel zły, że na mojem postawiłem, mścić się postanowił na dziecku. Za każdą zmyłkę bił, targał za uszy, trzciną okładał i pięścią — tak że dziewczyna codzień z guzami i sińcami do domu wracał. Raz uderzył ją pięścią tak mocno, że jej nos spuchł i musiałem dziecko do doktora prowadzić. Tego mi było zanadto, więc podałem skargę do sądu. Było terminów dużo — wołano na świadków dzieci i rodziców, ale że się malcy nauczyciela bały, a i rodzice zadzierać z nim nie chcieli, więc choć każdy wiedział, że dziecku krzywda się stała, że ją kilka tygodni leczyć musiałem, odpowiadali ni to ni owo, a nauczyciel tylko 5 marek kary zapłacił.

— To znowu wygraliście sprawę.

— Wygrałem i co mi z tego przyszło? Dziecko i tak nic nie umie i niczego się nie nauczy — a on dalej bije i bije. Kowal wstał chmurny od śniadania, wyprostował się, spojrzał raz jeszcze na drogę i mruknął przez zęby kilka dosadnych epitetów dla szwabów, co się na polskiej ziemi utuczyli i rozpanoszyli. Potem zabrał się do roboty.

Śmigiel był dobrym Polakiem, a choć człowiek prosty i z pracy ciężkiej żyjący, nie był pozbawiony oświaty. Umiał czytać i czytał chętnie. Trzymał sobie gazetę i wertował

ją wieczorem, gdy do domu powrócił, latem siedząc na progu chaty zimą za stołem przy lampie. Czytanie to sprawiało mu dużą przyjemność i emocji nie mało. Co chwila przerywał je wykrzyknikami, to się dziwił, to oburzał, lub cieszył a choć pismo od deski do deski odczytywał, najwięcej zajmowała go polityka. Każdy nowy fakt niemieckiego ucisku burzył go; pięścią w stół uderzał; sypał przezwiska na „szwabów“. Gdy jednak jaki Polak Prusakowi dał skuteczną odprawę wtedy ręce zacierał i śmiał się radośnie: „Dobrze mu tak! To mu wygarnął!“ — Żonę objaśniał często o przyczynach swego oburzenia lub zachwytu, a czasem jej głośno jaki kawałek z gazety powtórzył. Ona też z wielką ciekawością słuchała jego wynurzeń i przejmowała się temiż samemi wrażeniami. W niedzielę i święta czytywali różne pobożne i patrjotyczne książki, (które ze dworu pożyczali) o królach, wodzach o patronach polskich i tak nabyli z nich trochę bezładnych ale dosyć przybliżonych do prawdy pojęć o przeszłości rodzinnej ziemi.

Takich piśmiennych ludzi było we wsi więcej: ogrodnik, kucharz, kilku gospodarzy, młynarz, listowy-furman. Ci wszyscy, o ile czas pozwolił, schodzili się na pogawędkę i politykując po swojemu odbudowywali Polskę. Jeden wypędzał Niemców z pomocą Moskali — drugi Moskali z pomocą Prusaków, inny znów wierzył w potęgę Francuza, byli i tacy, co na Austrji daleko sięgające plany budowali. Listowy, najmilszy przyjaciel wszystkich tych gorliwych polityków, jako najbliżej z gazetami obznajmiony, objaśnień i wskazówek im udzielał.

Kowal gorąco brał te sprawy do serca. Polityka była dla niego nie tylko świąteczną rozrywką i przedmiotem miłej pogawędki, lecz sprawą ważną, w którę kładł duszę.

Podczas wyborów był w ciągłej gorączce, nie dosyć że sam głosował ale kogo mógł wypędzał i namawiał, aby obowiązek wypełnił i swoim do zwycięstwa dopomógł. Miłość ojczyzny stała się jego drugą naturą; w każdej okoliczności życia miał ją na pamięci. Jednakże jedna myśl go trapiła. Widział on, że w swoim skromnym zakresie nie wiele dla kraju zrobić może, lecz pieścił się marzeniem, że dzieci na dobrych Polaków wychowa, że przysporzy narodowi gromadkę tęgich zuchów, którzy się ucisku nie ulękną i Niemcom się w kaszy zjeść nie dadzą. Tymczasem dzieci mu się nie chowały. Rodziło ich się sporo — ale żadne roku nie przeżyło. Za każdem nowem powiększeniem rodziny otucha wstępowała w serce kowala. Na jego ogorzałej i dymem poczerniałej twarzy promieniała radość i tryumf zwłaszcza jeśli błogosławieństwo Boże synem go obdarzyło. Za chrztem spieszył się nadzwyczajnie i dziecku zawsze jakieś historyczne imię nadawał. Synowie nosili imiona królów i bohaterów — córki patronek polskich. Krótka jednak była uciecha; i królowie i patronki nie długo bawili na ziemi i niedługo kwileniem swem ojcowską ożywiali chatę. Spoczęli pod cmentarną murawą i najstarszy Tadeusz — kościuszkowskiem obdarzony imieniem; Jan mający sławę Sobieskiego uwiecznić i Jadwiga królowa i Bolesław — Chrobry — i cały tuzin małych dostojników - bez władzy i potęgi, bo tylko w sercu ojcowskiem i to bardzo niedługo panowali. Raz już radość Śmigla doszła do szczytu, bo właśnie w czasie, gdy ks. Bismark Polaków obcych poddanych z kraju wydalić kazał — w chacie kowala ujrzeli światło dzienne dwaj chłopcy-bliźnięta. „Bismark chce Polaków tępić — mówił uszczęśliwiony — a oni na złość po dwóch na raz się rodzą“.

Dał im imiona Zygmunta i Kazimierza, lecz obaj monarchowie nie długo gościli w jego chacie. Po dwóch tygodniach maleństwa zmarły i powiększyły ilość ukochanych mogiłek, które Śmigiel i Śmiglowa rozczulającą otaczali opieką. Starania których nie mogli rozwinąć nad kolebką dziecka spłynęły na dziecinne groby ślicznie kwiatkami obsadzone, czysto wypielone jak klombiki w ogrodzie. Tak po kilkunastu latach małżeńskiego pożycia doliczyli się tuzina dziecięcych mogiłek, a tylko jedno dzieciątko, wątłe dosyć chowało się i rosło. To też Salusia która wraz z rodzicami niejednę radość przeżyła, niejedną przecierpiała żałobę, stała się dla nich jedyną pociechą życia, oczkiem w głowie, pieszczotę najsłodszą, promyczkiem słońca rozjaśniającym ich pustkę domową.

Była chowaną tak łagodnie jak żadna z jej rówieśniczek w wiejskiej chacie zrodzona. Rodzice wprost nie mieli odwagi karcić ją lub ostro strofować — obawiając się by temu wątłemu stworzeniu tak szczęśliwie ocalonego życia nie utrudniać a sami przed sobą usprawiedliwiali się przekonaniem, że jest to nadzwyczajne dziecko, którego karać nie potrzeba.

Nadzwyczajną ona może nie była, ale poczciwych mając rodziców poczciwe skłonności na świat przyniosła, że zaś tylko dobrego od nich doznawała, więc szczerze była do nich przywiązaną. Było to dziewczątko z natury łagodne ale bardzo nieśmiałe i lękliwe w obec obcych, a tak do żadnej surowości nie przywykła, że dość było ostro na nią spojrzeć, aby ją przestraszyć. Tylko na własnych śmieciach, pod serdecznem spojrzeniem matuli i tatusia jak kwiat pod promieniem słonecznym rozwijała się i życia nabierała i jak kwiat pod wpływem porannego chłodu zamykała się w sobie i gasła, gdy ją otoczenie szorstkiem obejściem zraniło. Że dla takiej istoty pobyt w szkole pruskiej był męką nieopisaną — to się samo przez się rozumie.

Nauczyciel w to nie wglądnął i nierozumiał tego. Przedewszystkiem zmuszony nauczać codziennie 80-cioro dzieci nie miał czasu zastanowić się nad ich usposobieniem i naturą, choćby nawet tego pragnął. Swoją drogą nikomu nawet na myśl by nie przyszło podejrzywać go o tak szlachetne dążenia. Człowiek ten, pracy swej podjął się li tylko dla chleba, nie miał do niej najmniejszego zamiłowania i jedynie jej dobrą stronę odczuwał wtedy, gdy mu co miesiąc pensję wypłacono.

(C. d. n.) *Moszczeńska.*

Błędy językowe.

39. Grasuje u nas skłonność do zastępowania 5-go przypadku dodawaniem przyimków do rzeczownika; coraz częściej słyszymy: »jechał po drodze...«, »dowiódł przez rozumowanie...«, ukarany został przez niepokój...«, »tłumaczył się przez niewiadomość..«, zamiast: »jechał drogą«, »dowiódł rozumowaniem«, »ukarany został niepokojem«, »tłumaczył się niewiadomością« itp. itp.

40. *Podejrzewać* nie znaczy u nas »przypuszczać, domyślać się«; błędem więc jest mówić: »Nie podejrzywałem, żeś pan tak złośliwy« itp.

Rozbiory i sprawozdania.

Władysław Studnicki. Współczesna Syberya. Kraków 1897 str. 161.

„Przez czas długi — tak zaczyna p. Studnicki swą pracę — Syberja nosiła niemal wyłącznie charakter kolonji karnej Rosji europejskiej i była jakby jej naturalnem, olbrzymiem więzieniem“. Z tej strony zna ją literatura nasza dobrze i po opisach dawniejszych a szczególniej po rozgłośnej pracy Kennan'a nie wiele chyba nowego zostało tu do powiedzenia albo raczej napisania. Inne zadanie podjął autor omawianej pracy. W szeregu rozdziałów kreśli on nam obrazy kulturalnego i społecznego życia tej rozległej krainy, nie zajmując się nią wcale, jako miejscem deportacji.

Zaraz z początku podnosi autor znaczenie jakie ma dla ekonomicznego rozwoju Syberji bliskie sąsiedztwo na gwałt zaprowadzającej u siebie cywilizację europejską Japonji i idących za tym przykładem Chin. Przechodząc do przyrodniczych warunków tego rozwoju zajmuje się dalej p. S. kwestją żeglugi na oceanie lodowatym.

Rozdział drugi jest poświęcony opisowi współczesnego stanu ludów północnych części Syberji, ich fizycznego zwyrodnienia i w ogólności kultury północy, konstatując, że przy obecnym tej kultury stanie „ciasno jest na olbrzymich przestrzeniach północy, gdzie na jedną milę kwadratową przypada zaledwie parę dziesiątków ludzi“.

Klimatem Syberji zajmuje się autor w rozdziale trzecim. Najciekawszymi są niewątpliwie rozdziały czwarty i piąty traktujące o rolnictwie i formach własności ziemskiej na Syberji. Przedstawia tu autor jaki wpływ wywarły na charakter rolnictwa klimat kraju i rozległe przestrzenie ziemi jeszcze dziewiczej. Ile jej jest — niewiadomo; badania w tej mierze są obecnie w toku. Olbrzymie obszary ziemi zdatnej pod uprawę uwarunkowały rolnictwo ekstenzywne, mające dwa główne typy: odłogowy i odłogowo-ugorowy. W wielu miejscowościach daje się jednak już zauważyć wyczerpanie gleby i powstaje kwestja nawożenia gruntów.

W rozdziale piątym kreśli autor stosunki własności rolnej na Syberji, gdzie, jego zdaniem, nie było ani przyrodzonych, ani społecznych warunków sprzyjających powstaniu własności indywidualnej. To też dominującym typem własności ziemskiej jest własność gminna, bez podziałów ziemi (dopóki jej jest dużo) i z podziałem, gdy na ziemi w miarę przyrostu ludności, staje się ciaśniej.

Nie mógł autor, rzecz naturalna, wyczerpać tak obszernego przedmiotu na dwudziestu kilku stronicach, które im poświęcił. Dają nam one jednak dobre pojęcie o chaotyczności, która pod tym względem panuje na Syberji. Obecnie, jak pisze p. S., rozpoczęto prace ostatecznego uregulowania stosunków rolnych na Syberji, a że to sprawa nagląca widać choćby z wyroków najwyższej instancji sądowej — Senatu, który ostateczne rozstrzygnięcie sporów o ziemię odkłada „do ostatecznego uporządkowania kwestji rolnej na Syberji“.

Handel futrami, przemysł złoty, ogólne stosunki handlowo przemysłowe Syberji stanowią treść rozdziału szóstego. Zawadza w nim autor i o kwestję znaczenia drogi żelaznej transsyberyjskiej dla przemysłu Królestwa polskiego, nie dając jednak na postawione pytanie rozstrzygającej odpowiedzi.

Sprawą kolonizacji Syberji kończy p. Studnicki swą ciekawą pracę, której wartość podnosi to, iż autor bardzo wiele materjału zdobył z własnych podróży po Syberji i spostrzeżeń, a umiał też należycie korzystać z istniejącej już literatury rosyjskiej. *P.*

Z drukarni Z. Goloba we Lwowie